

Temat tygodnia

- 12 Ryszarda Socha
**PiS bierze się
za organizacje pozarządowe**

Polityka

- 16 Marcin Zaremba
**Od Mieszka do Leszka
– czyli historia
pisana na nowo**
- 20 **Ludwik Dorn** o Macierewiczu,
jego agenturalnych
i smoleńskich obsesjach
oraz o jego związkach
z prezesem PiS
- 23 Malwina Dziedzic
Nowe swojskie telewizje
- 26 Edwin Bendyk
OGLĄD I POGLĄD
**Dlaczego sondaże
tak często się mylą**

Społeczeństwo

- 28 Violetta Krasnowska
**Przestępcze majątki
nie do skonfiskowania**
- 32 Elżbieta Turlej
**Radiomaryjna specjalistka
od wychowania do życia
w rodzinie**
- 35 Edyta Gietka
Z żalami do Sejmu
- 38 Marta Mazuś
**Trudna walka
z przemocą na prowincji**

Rynek

- 40 Joanna Solska
Banki repolonizowane
- 44 Rozmowa z **Jeremim
Mordasewiczem** o spisku
wśród przedsiębiorców,
który wykrył Jarosław Kaczyński
- 46 Andrzej Lubowski
Jak zarobić na piłce

Świat

- 48 Adam Krzemiński NIEMCY
**Czy Angela Merkel
utrzyma Europę**
- 51 Paulina Wilk
Śmieci: problem i biznes
- 54 Dariusz Kałan WĘGRY
Orbán jako historyk
- 56 Jan Krzysztof Bielecki,
Paweł Kowal OGLĄD I POGLĄD
**Potraktujmy Ukraińców
poważniej**



12

PiS kontra trzeci sektor

20



Ludwik Dorn o fobiach Antoniego Macierewicza

28



Mienie odzyskane

98



Mem fenomen

Historia

- 58 Jerzy W. Borejsza
Sądy honorowe Stalina
- 61 **Prace magisterskie o PRL
– laureaci konkursu**

Nauka

- 64 Marcin Rotkiewicz
Ulepszanie fotosyntezy
- 68 Rozmowa z dr. **Maciejem
Dołęgą**, laureatem Nagrody
Naukowej POLITYKI,
o matematyce dyskretnej
- 70 Sławomir Kosielewski
Bikony atakują

Kultura

- 76 Piotr Sarzyński
Sztuka bardziej ekologiczna
- 80 Bartek Chaciński
**Nowa kategoria Paszportów
– cyfrowy twórca**
- 82 Jan Błaszczak **Instant Classic:
z Krakowa w wielki świat**
- 85 KAWIARNIA LITERACKA
Renata Lis
- 86 Dorota Szwarzman
**Nieznaną operą
Aleksandra Tansmana**
- 89 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 94 Ryszard Wolff **Nieobliczalni
amerykańscy prezydenci**
- 98 Dr **Magdalena Kamińska**
o tym, co Andrzej Duda
ma wspólnego z kotem,
a memy z Homerem

Na własne oczy

- 108 Bartek Chaciński,
fotografie Kuba Dąbrowski
**Muzyka egzotyczna
na polskich estradach**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 72 Afisz • 102 Passent
- 104 Stomma • 105 Tym
- 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy • 114 Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Pieniądze muszą zrozumieć

Jeden z biznesmenów wyraził w radiu pogląd, że niektórzy ludzie mogą zrozumieć poczynania obecnej władzy, ale pieniądze tych poczynañ raczej nie rozumieją. Praktyka pokazuje, że pieniądze są uparte, nie posiadają empatii i zamiast rozumieć innych, same chcą być dobrze zrozumiane. Mimo to uważam, że władza nie powinna pieniądзом zanadto popuszczać.

Nie mówię, żeby od razu zrobiła pieniądзом to, co Trybunałowi Konstytucyjnemu, bo ten Trybunał nie jest tej władzy do niczego potrzebny, a pieniądze – są. Ale może politycy PiS powinni z tymi pieniędzmi więcej rozmawiać i wytłumaczyć im, że trwa wielki projekt przebudowy Polski i albo pieniądze wezmą w nim udział po dobroci, albo rząd znajdzie sposób, żeby je zmusić. Zdaniem niektórych zbliżenie z pieniędzmi utrudnia to, że prezes Kaczyński się na nich nie zna. Być może, ale to w końcu nie prezes Kaczyński powinien się znać na pieniądzech, tylko pieniądze powinny znać prezesa Kaczyńskiego i słuchać, co do nich mówi, bo dwa razy nie będzie powtarzał. Przy okazji kilka przykrych słów należałoby powiedzieć inwestycjom, których nie ma, a powinny być, gdyż plan Morawieckiego je przewiduje. Niestety, inwestycje zachowują

wobec obecnych przemian niezrozumiały dystans, nie angażują się i strzelają focha. Nic dziwnego, że z PiS dobiegają głosy, że trzeba się będzie za nie wziąć, co moim zdaniem nie jest dla inwestycji wiadomością dobrą.

Trzeba uczciwie powiedzieć, że do pieniędzy państwowych dotarło już, że muszą się w dobrą zmianę zaangażować. Ludziom obecnej władzy udało się do tych pieniędzy dotrzeć z jasnym przekazem, na co mają pójść, i one idą, o czym media codziennie nas informują. Chodzi tu o pieniądze spółek Skarbu Państwa, pieniądze z programu 500+, pieniądze na patriotyczne superprodukcyjne filmowe, na reformę edukacji, na propagowanie kultury smoleńskiego, a także pieniądze, którymi wkrótce zacznie dysponować Narodowe Centrum Społeczeństwa Obywatelskiego, powołane do jak najszybszego utworzenia takiego społeczeństwa.

Niestety, inne pieniądze odmawiają współpracy z obecną władzą i nie przyjmują do wiadomości zapowiedzi wicepremiera Morawieckiego, że ma dla nich plan. Ekonomisci nie wykluczają, że te pieniądze z racji swego pochodzenia nie rozumieją po polsku, dlatego proponują, żeby wywierać presję na pieniądze, które po polsku rozumieją. Z tym że moim zdaniem należy być ostrożnym, bo jak presja będzie zbyt silna, to te pieniądze mogą wykorzystać nieuwagę służb i uciec z kraju.



PANDORA



RADOŚĆ DAWANIA

Ręcznie wykańczana biżuteria wykonana z najwyższej jakości srebra, podarowana z miłości.

Odkryj najnowszą, świąteczną kolekcję i wybierz wyjątkowy prezent.

Kup online lub znajdź najbliższy salon na pandora.net

Zakład o 100 tysięcy



Jerzy Baczyński

Wdziwacznej, toczonej od roku, wojnie kaczyńsko-polskiej, w której Grupa Trzymająca Władzę próbuje podbić kolejne obszary obcego jej państwa, otworzył się nowy front. Chodzi o organizacje społeczne, nazywane pozarządowymi, czyli NGO. Nieoczekiwanie jedną z pierwszych ofiar tej wojny został wicepremier Piotr Gliński, morderczo ostrzelany z własnych szeregów (raport z frontu zamieszczamy na s. 12). Ale polityczno-medialne natarcie trwa.

NGO, przypomnijmy, to bardzo nieprecyzyjne i w naszym języku kalekie określenie, obejmujące niesłychanie zróżnicowane formy aktywności społecznej. Rzadko są one ściśle pozarządowe, czyli w ogóle niekorzystające ze środków budżetowych czy wsparcia instytucjonalnego. Ale też pomoc publiczna zyskuje tu na ogół mnożnik w postaci osobistego, nieodpłatnego zaangażowania działaczy, wolontariuszy, sponsorów. Jedna złotówka zmienia się w trzy, pięć lub dziesięć. W dodatku te organizacje działają często w sektorach, dokąd administracja państwowa, z reguły zimna, bezosobowa, ograniczona priorytetami i procedurami, nie dociera albo gdzie byłaby dramatycznie niesprawna. Dla PiS NGO mają tę podstawową wadę, że należą do jakiegoś mętnego porządku „społeczeństwa obywatelskiego”, to znaczy nie podlegają bezpośrednio centralnemu Ośrodkowi Woli Politycznej, jak eufemistycznie jest nazywany Jarosław Kaczyński. A tam, gdzie PiS nie sięga, mogą się tworzyć gniazda oporu. Więc przy pomocy różnych narzędzi – od finansowych, przez kontrolne, po propagandowe – władza zamierza przetworzyć sektor pozarządowy w jakąś postać prorządowego.

Wyborcy i sympatycy PiS zapewne nie przejmą się losem atakowanych i zozydanych w TVP działaczy oraz ich organizacji. Przeciwnie, mogą mieć swoistą satysfakcję. Badania polskich socjologów od lat pokazują dobitnie, że „zwykli Polacy” ani sami nie angażują się w społeczną działalność, ani nie ufają aktywistom, podejrzewając ich, że pod jakimiś szlachetnymi przykrywkami kręcą – jak każdy – swoje lody. To zjawisko nazwano luką społeczną, gdyż pomiędzy narodem, z którym się sentymentalnie utożsamiamy, a własną rodziną Polacy są prawie nieobecni. (Przypomnę smutną obserwację Norwida: jesteśmy wielkim narodem i żadnym społeczeństwem). Ta luka społeczna zaczęła się pomału wypełniać w ostatnim ćwierćwieczu, trochę na zasadzie imitacji, przenosze-

nia różnych mód i organizacji działających na Zachodzie. Były zachęty ze strony państwa i samorządów, stosunkowo łatwy dostęp do funduszy europejskich i jednoprocentowego odpisu na organizacje pożytku publicznego. Przy okazji pojawiły się grupki cwaniaków i wydrwigroszy, psujące reputację NGO, ale urosło też tysiące znakomitych organizacji pomocowych, strażniczych, hobbystycznych, kulturalnych, spontanicznie podejmujących różne misje i zadania publiczne. Ten mozolny proces tworzenia tzw. kapitału społecznego ma być teraz przerwany, może odwrócony.

Jednak zmasowany atak na organizacje społeczne (jest ich w sumie ponad 100 tys.) może mieć również pozytywne następstwa. Nie chodzi o to, że kolejna duża grupa ludzi została zaproszona do protestów, ale że mamy wyjątkową okazję i motywację, aby zrewidować własny stosunek do zorganizowanej działalności pro publico. Jej sens sprowadza się bowiem do osobistego poparcia i zaangażowania. Ani „owskiakowa”, ani „jednoprocentowa”, kwietniowa, hojność nie spełnia tego warunku, jest odfajkowaniem dobroczynności, przy minimalnym koszcie własnym. Sukces tych akcji, paradoksalnie, bardziej chyba zaszkodził, niż pomógł rozwojowi trzeciego sektora. W większości krajów zachodniego świata, tradycja, a nawet pewna norma społeczna obejmująca klasę średnią i wyższą, wręcz nakazuje wspieranie jakichś przedsięwzięć filantropijnych, kulturalnych, lokalnych. To może być parę euro czy funtów, byle regularnie, byle z własnej inicjatywy i woli. U moich zagranicznych znajomych taka lista wsparcia na kolejny rok jest rodzinnie negocjowana przy okazji bożonarodzeniowych spotkań. Fundusz charytatywny, lokalne muzeum, orkiestra, ochrona lasów amazońskich, hospicjum, stowarzyszenie feministyczne, komitet wyborczy. Czy u nas jest to kompletnie niemożliwe?

PiS zapewne zakłada, że jeśli zabierze NGO państwowe i europejskie dotacje, to tym różnym, rzekomo zatroskanym o Polskę demokratom, nawet nie będzie się chciało ruszyć ręką, nie mówiąc o poświęceniu 50 czy 100 zł miesięcznie, aby je ratować. Służnie kombinują? Z jednej strony to bardzo budujące, że kolejne środowiska nie dają się złamać, skorumpować ani przestraszyć nowej władzy, że bronią swojej autonomii, godności i praw. Po sędziach, pracownikach służby zdrowia, nauczycielach, kobietach i wielu innych grupach znakomicie znaleźli się adwokaci, samorządowcy protestujący w obronie prezydentów miast; swój kongres zapowiadają historycy, coraz bardziej zbulwersowani prymitywną polityką historyczną PiS. Z drugiej strony ten ruch oporu, jeśli nie ma się wypalić w marszach i seminariach, musi przybierać trwalsze formy organizacyjne. Dziś najlepszym narzędziem są właśnie NGO – i te, które już istnieją, i te, które można stworzyć (wciąż jeszcze legalnie). Warunek – muszą otrzymać choćby odrobinę naszego czasu i pieniędzy. Gdyby choć milion osób (z 30 mln uprawnionych do głosowania) wydało choć kilkadziesiąt złotych miesięcznie, „na społeczeństwo obywatelskie”, to – cytując Sławomira Sierakowskiego z NGO – „Kaczyński mógłby nam naskoczyć”. Tak, ten zakład o 100 tys. NGO z PiS jeszcze można wygrać.

PS Może zaproponujemy Państwu taką świąteczną, autorską listę wartych wsparcia NGO?

A w przyszłym numerze wyjazdowy odpoczynek od „Przy-PiSów”;
bo od poczynku od PiS, niestety, nie mogę obiecać.

Jan Koza



© JAN KOZA



© DANUTA MATLOCH/FOTOREPA

Żona wicepremiera

Ofiarą ataku „Wiadomości” TVP na organizację pozarządową stało się małżeństwo Glińskich. Minister kultury skrytykował „nieprofesjonalne dziennikarstwo”.

Oszałełście, to jest dom wariatów – tymi słowami wicepremier i minister kultury Piotr Gliński podsumował materiał „Wiadomości” TVP o organizacjach pozarządowych. W niedzielę wieczorem był gościem „Wiadomości”, których dziennikarze po raz kolejny zaatakowali fundacje pozarządowe. TVP twierdzi, że wybrane fundacje i stowarzyszenia są powiązane z poprzednią władzą i tylko dzięki relacjom rodzinno-towarzyskim były finansowane z publicznych pieniędzy. W materiale „Wiadomości” wymieniono także żonę Piotra Glińskiego, **Renatę Koźlicką-Glińską**, informując, że zasiada ona w radzie Fundacji Stocznia, która dostała 50 tys. zł dotacji z kierowanego przez jej męża ministerstwa. W piątek na konferencji prasowej Gliński przeprosił zaatakowane osoby za materiały TVP o organizacjach pozarządowych, ale politycy PiS

tłumaczyli, że wicepremier zrobił to we własnym imieniu. Niektórzy politycy i komentatorzy twierdzą, że do przeprosin Glińskiego zmotywowała właśnie jego żona Renata Koźlicka-Glińska. Kiedy w 2012 r. PiS lansował jego kandydaturę na premiera technicznego, mówił POLITYCE, że podjął wyzwanie, bo ufa Jarosławowi Kaczyńskiemu i dostał zgodę od żony.

Koźlicka-Glińska zasiada w radzie Fundacja Pracownia Badań i Innowacji Społecznych Stocznia (obok m.in. córki dr Barbary Fedyszak-Radziejowskiej, doradcy Prezydenta RP Andrzeja Dudy, i zięcia prof. Jacka Czaputowicza, członka Rady Programowej PiS). Jest też współzałożycielem, m.in. obok Zofii Komorowskiej (córki byłego prezydenta), Stowarzyszenia 61, wydawcy MamPrawoWiedziec.pl, które dostarcza obywatelom informacji o osobach pełniących wybieralne funkcje publiczne. Prezesem Stowarzyszenia jest Róża Rzeplińska (córka prezesa TK). Renata Koźlicka-Glińska od wielu lat jest dyrektorką programową w Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolność. Fundacja rozpoczęła działalność w trzech obszarach: edukacja, rozwój społeczności lokalnych oraz dzielenie się polskimi doświadczeniami z sąsiadami ze Wschodu. „Później ukształtowało się czwarte pole: obywatel w demokratycznym państwie prawa. Poprzez przyznawanie grantów wspieramy organizacje pozarządowe udzielające bezpłatnych informacji i porad, głównie osobom z grup społecznie marginalizowanych” – wyznała Koźlicka-Glińska w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” w 2010 r.

Profesor poznał swoją przyszłą żonę, gdy w 2002 r. kierował konsultorium Zakładu Społeczeństwa Obywatelskiego Instytutu Filozofii i Socjologii PAN pt. „Samoorganizacja społeczeństwa polskiego: trzeci sektor w jednoczącej się Europie”. Wicepremier wiele lat żył tylko nauką i swoimi pasjami (maratony, narty, praca jako kaskader, judo). Życie rodzinne układał już jako dojrzały mężczyzna, właśnie z 20 lat młodszą od siebie Renatą Koźlicką. Studenci profesora z Białegostoku wspominali, że kiedyś zalił im się, że nasze społeczeństwo nie ma tolerancji dla późnego ojcostwa. Często biorą go za dziadka jego 10-letniej córki Celiny. Znajomi mówią, że w ich małżeństwie panują partnerskie relacje. – *Kiedy sporadycznie odwoływał zajęcia – mówią studenci Glińskiego – to tylko wtedy, gdy żona musiała wyjechać służbowo i on zajmował się córką.* Renata Koźlicka proszona o rozmowę na temat męża konsekwentnie odmawiała, motywując: „Nie udzielam wypowiedzi o »kontekście rodzinnym« mojego męża”.

(DAB.)

Czym są organizacje pozarządowe – s. 12.

KOMENTARZ

Ostrzegam



Adam Szostkiewicz

Wiemy, że media publiczne uprawiają bez zahamowań propisowską propagandę polityczną. Lecz włos się jeży jeszcze bardziej, gdy zabierają się do propagandy antynaukowej. Niedawno w programie TVP Info Studio Polska wystąpili przeciwnicy szczepień dzieci. W pierwszym odruchu pomyślałem: Jaka

ulgą, że mam dorosłe dzieci! Nie muszę się martwić, czy nie zarażą się od nieszczepionych dzieci na placu zabaw, w przedszkolu czy szkole. Tylko że miliony młodych rodziców nie poczują tej ulgi. Jeśli będą mieli pecha, ich dzieci mogą ciężko zachorować.

Tak TVP prezesa Kurskiego realizuje misję publiczną w zakresie promocji zdrowia. Z ignorancją i teoriami spiskowymi należy walczyć. Do tego między innymi służą media. Gdy przyczyniają się do podstawowego szerzenia nieufności do medycyny naukowej czy przemysłu farmaceutycznego, wyrządzają szkodę społeczną. Przeciwnicy szczepionek mają prawo zabrać głos w debacie publicznej, ale media publiczne nie mogą sprawiać wrażenia, iż stają po ich stronie. Jeśli antynaukowa propaganda przeciwko szczepieniom bę-

dzie kontynuowana, ludzie zaczną ją traktować poważnie. Ten mechanizm przerobiłmy przy okazji katastrofy smoleńskiej. Teraz przerabiamy go w sprawie szczepionek. A co będzie jutro? Fakultatywne (a może i obowiązkowe) zajęcia z kreacjonizmu?

Warto też zwrócić uwagę, że propaganda antyszczepionkowa jest fragmentem większej całości. W internecie znajdziemy wiele stron promujących w jednym pakiecie walkę ze szczepionkami, żywnością genetycznie doskonaloną, paktem klimatycznym, utajnionym rządem światowym sterowanym przez Żydów i masonów, liberalnymi i kosmopolitycznymi elitami, globalnymi koncernami, multi-kulti i „poprawnością”. To podręczny zestaw ideologiczny tak zwanej alternatywnej prawicy od USA po Rosję. Ostrzegam.



Specjaliści od dłubania

**A po co a po co tak dłubie i dłubie
a za co a za co tak myśli i skubie
i tak się przykłada i mówi z ekranu...**

Przytoczyłem powyższy fragment piosenki Kuby Sienkiewicza, bo pasuje jak ulał do ekspertów rządowych trudzących się od roku w jednym tylko celu: jak pognębić hipermarkety i wielkie centra handlowe, które podobno złośliwie nie płacą podatków i deprawują Polaków, narzucając im konsumpcyjny styl życia? Najpierw próbowano uderzyć je pałką podatkową. Zaraz po wejściu podatku od handlu napisałem w tym miejscu, że trudno o bardziej bezsensowną daninę. Nie dość, że podatek uderzał w klientów oraz dostawców i ani trochę nie wyrównywał szans drobnego handlu w konkurowaniu z handlem wielkopowierzchniowym, to jeszcze został tak spartolony, że ze względu na oczywistą sprzeczność z prawem europejskim Bruksela musiała go zdyskwalifikować. Czy to otrzeźwiło rządowych „dłubaczy”? Niestety, nie.

Jak słyszę, nadal „dłubią i dłubią, myślą i skubią”. Ponieważ jednak nie mają pewności, czy coś wymyślą, wyciągnęli drugą pałkę: zakaz handlu w niedzielę. Niby to projekt obywatelski, ale radośnie przez PiS przyjęty. Jak pouczył rodaków przewodniczący Solidarności Piotr Duda: „niedziela jest dla Boga i rodziny”. Jestem za – pod warunkiem że będziemy konsekwentni. Dajmy wolną niedzielę pracownikom kin, teatrów, muzeów, restauracji, kolei, ogrodów zoologicznych, miejskich zakładów komunikacyjnych, radia i telewizji...

Powie może ktoś, że to nie to samo co handel, bo chodzi o to, aby rodzina w komplecie mogła w niedzielę pójść do zoo lub na pizzę, a po galeriach i hipermarketach włożyć się nie musi. Otóż nie! Po pierwsze, nie życzę sobie, aby klub parlamentarny PiS narzucał mi sposób spędzania wolnego czasu. Po drugie zaś – co w dotychczasowej dyskusji zupełnie pomijano, argumentując, że masła i cukru nie muszą kupować w niedzielę – zapomina się, że są rzeczy, które kupuje się głównie w czasie wolnym od pracy, bo wymagają dłuższych oględzin, porady sprzedawcy i namysłu. Należą do nich: wyposażenie mieszkania (meble, dywany itp.), artykuły budowlane, sprzęt AGD i RTV, osprzęt techniczny i inne dobra długotrwałego użytku (także buty czy garnitur!). Notabene zakupy te dokonywane są bardzo często rodzinnie, bo decyzja powinna być wspólna. Zamknięcie centrów i sklepów z tymi artykułami w niedzielę spowoduje, że zakupy w sobotę zamienią się w piekło.

Jeszcze jeden, bardzo ważny argument. Autorzy ustawy, powołując się na to, że niektóre kraje – np. Francja i Niemcy – ograniczają handel w niedzielę (choć większość tego nie czyni, a brany za wzór Orbán właśnie z zakazu się wycofał), w ogóle nie biorą pod uwagę tego, że Polacy są drugim z kolei najbardziej zapracowanym krajem Europy! Według Eurostatu pracujemy tygodniowo o 4 godziny dłużej niż Francuzi i o 6 godzin dłużej niż Niemcy, co oznacza, że mamy mniej czasu na zakupy w tygodniu.

Ale na tym nie koniec. Autorzy ustawy chyba bardzo nie lubią swoich rodaków, bo poszczególnymi przepisami osaczają ich ze wszystkich stron. Machniesz ręką na sklep, bo kupisz w internecie? Tak, ale nie w niedzielę, bo platformy internetowe

tego dnia nie będą mogły przyjmować zamówień (!). Wkurzony sobotnim tłokiem w sklepie umrzesz na apopleksję? Fatalny moment sobie wybrałeś, rodzina będzie mogła załatwić formalności pogrzebowe dopiero w poniedziałek, bo zakłady pogrzebowe, jako że handlują trumnami, wieńcami i innymi smutnymi akcesoriami, w niedzielę będą nieczynne (!). To nie żart – Polska Izba Pogrzebowa już złożyła protest. Jesteś właścicielem kwaciarni (niedziela to dobry dzień dla kwaciarzy), rozbudowałeś ją, masz teraz magazynek, chłodnię – w nagrodę w niedzielę będziesz mógł pójść do zoo, bo powierzchnia twojego lokalu przekroczyła 50 m kw. i siódmego dnia musisz go zamknąć.

Jest rzeczą oczywistą, że w wyniku zamknięcia handlu w niedzielę nastąpią zwolnienia pracowników (spór dotyczy tylko skali zwolnień), spadną obroty i wpływy podatkowe do budżetu. Był minister finansów Paweł Szałamacha odważnie zaproponował, aby przez dwa lata zamykać sklepy tylko przez jedną niedzielę w miesiącu i sprawdzić efekty. Ignorant! Nie wygadywałby takich rzeczy, gdyby wcześniej przeczytał uzasadnienie do obywatelskiego projektu, a tam jak byk stoi, że zatrudnienie i obroty wzrosną, fiskus skorzysta, a na dodatek ceny spadną. Słowo honoru – tak napisano w uzasadnieniu!

Według przeprowadzonych badań 40 proc. pracowników handlu nie ma nic przeciw pracy w niedzielę, a dalszych 30 proc. nie miałyby nic, gdyby za ten dzień otrzymywali nie tylko inny dzień wolny, ale i dodatkowe wynagrodzenie. To byłoby najbardziej sensowne rozwiązanie, ale ma jedną wadę: nie ma aprobaty episkopatu. I wszystko jasne.

Aw niustającym konkursie na najbardziej bzdurną wypowiedź Amiesiāca laur zdobywają *ex aequo* panowie Macierewicz i Błaszczak. Ten pierwszy oczywiście za „korwety sprzedane Rosji za dolara”, a drugi za odkrycie, że „wypowiedź Macierewicza właśnie zapobiegła zaplanowanej już sprzedaży”. Jak głosi anegdota, do mistrzostw świata drwali zgłosiło się zbyt wielu zawodników, więc jury dopuszczało tylko tych, którzy mieli poważne osiągnięcia. Amerykanin oświadczył, że wyrąbał las na połowie Alaski – dopuszczono go. Rosjanin wyrąbał las na połowie Syberii – dopuszczono go. Zgłosił się też Polak, który pochwalił się wyrąbaniem lasu na Saharze. „Przecież tam nie ma drzew!” – zakrzyknęło jury. A na to Polak: „No, teraz już nie ma”.

Świadomy treści art. 226 par. 3 kk na wszelki wypadek oświadczam, że wszelkie podobieństwa między tą opowiastką a postępowaniem królegokolwiek z członków naszego rządu są całkowicie przypadkowe.

Marek Borowski – polityk, ekonomista, marszałek Sejmu IV kadencji. Od 2011 r. zasiada w Senacie (niezrzeszony), wcześniej był posłem (I–IV i VI kadencji). Współtworzył SdRP. Jako pierwszy zaproponował przekształcenie koalicji SLD w partię, której później był członkiem i wiceprzewodniczącym. Z Sojuszem rozstał się w 2004 r. Wraz z grupą polityków lewicy założył SDPL – z kierowania partią zrezygnował cztery lata później.

Kryzys wiary w ESK



© MIECZYSLAW MICHALAK/AGENCJA GAZETA

Aktualne zagrożenia dla wiary katolickiej i dla cywilizacji europejskiej były przedmiotem **debaty uczestników Kongresu Społecznego Europejskiej Stolicy Kultury** w miniony weekend we Wrocławiu. Kongres sfinansowany został przez związane z ESK Biuro Festiwalowe (100 tys. zł) i przez Narodowe Centrum Kultury. ESK cały czas korzysta też z 1,5 mln euro Nagrody Meliny Mercouri, kwoty wypłaconej przez Komisję Europejską. Za pieniądze publiczne i ze środków unijnych do Wrocławia przyjechali więc m.in. Chantal Delsol, publicystka „Le Figaro”, która uważa pogaństwo za największe zagrożenie dla Europy, oraz Gerard van den Aardweg, holenderski psycholog, który we Wrocławiu mówił o problemach wynikających z laicyzacji społeczeństw.

Aardweg był najbardziej kontrowersyjnym uczestnikiem wydarzenia, bo zajmował się też parapsychologią chrześcijańską, w tym szukaniem twardych dowodów na istnienie czyścica oraz opracowywaniem metody terapeutycznej leczenia z homo-

seksualizmu. Danie Aardwegowi możliwości zaprezentowania poglądów wywołało we Wrocławiu protesty polityków i organizacji pozarządowych. Reżyserka teatralna Ewelina Marciniak z jego powodu zrezygnowała z uczestniczenia w wydarzeniu ESK, zmniejszając liczbę zaproszonych na kongres kobiet do czterech. Natomiast wśród prawie 40 zaproszonych do Wrocławia mężczyzn byli m.in. Redbad Klijnstra, Krzysztof Zanussi, Andrzej Zoll, Marek Jurek, Andrzej Horubała czy Igor Janke. Przyjechał też wicedyrektor Muzeum Sztuki Nowoczesnej Marcel Andino-Velez. – *Nie zrezygnowałem z uczestniczenia w dyskusji, ale honorarium przekazałem Kampanii Przeciw Homofobii* – mówi. Organizowanie z publicznych środków wydarzenia ocierającego się o homofobię i islamofobię nie jest związane jedynie ze zmianą kursu przyjętą w Ministerstwie Kultury; to w dużym stopniu konsekwencja wieloletnich działań grupy nietolerancyjnych samorządowców wrocławskich skupionych wokół prezydenta Rafała Dutkiewicza i ludzi związanych z Centrum Historii Zajezdnia, na którego terenie Kongres Społeczny się odbył.

Ponieważ Wrocław utrzyma tytuł Europejskiej Stolicy Kultury do końca grudnia, lokalni dziennikarze i ludzie kultury zaczynają wydarzenie podsumowywać i przypominają, że gdy miasto przed 2016 r. ubiegało się o ESK, aplikacja przygotowana przez prof. Adama Chmielewskiego zakładała multikulturowość programu oraz danie przestrzeni do realizacji własnych pomysłów różnym warstwom społecznym. Ale we wrocławskim wykonaniu ESK zamieniło się w odgórnie narzuconą ekspercką dyskusję, także z udziałem wątpliwych ekspertów.

USCH

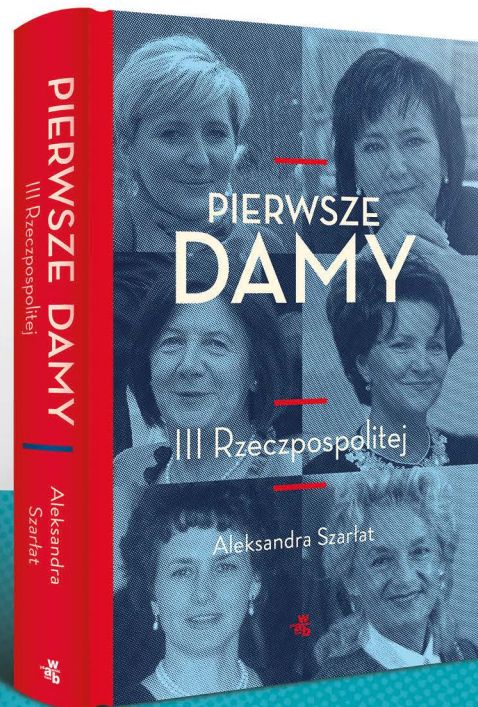
Średniowiecze kontra mechatronika

Specjalizujący się w średniowieczu historyk i wiceminister obrony narodowej zwrócił się do Wojskowej Akademii Technicznej z sugestią odebrania doktoratu Maciejowi Laskowi, byłemu przewodniczącemu Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych. Uczelnia choć wojskowa i finansowana z pieniędzy resortu, ministra nie posłuchała. Kiedy dokładnie wpłynęło pismo i jak zostało uzasadnione przez ministra Wojciecha Fałkowskiego, nie wiadomo, bo rzecznik uczelni zajęta była innymi czynnościami. Nieoficjalnie mówi się, że minister Fałkowski uznał, że dr Lasek nie jest godny tytułu doktora za swoją działalność przy badaniu przyczyn katastrofy smoleńskiej. – *Nie dostałem żadnego oficjalnego dokumentu na ten temat. Sprawę znam tylko z przekazów ustnych, ale wygląda na to, że pan prof. Fałkowski miał zastrzeżenia do mojej wiedzy z zakresu fizyki i mechaniki lotu* – tłumaczy Lasek.

Nad sprawą odebrania doktoratu, który 15 lat temu Lasek obronił na WAT, pochylała się rada Wydziału Mechatroniki uczelni. W zeszłym tygodniu naukowcy gremialnie uznali, że nie ma żadnych podstaw, żeby podjąć jakiegokolwiek działania zmierzające do odebrania tytułu naukowego Maciejowi Laskowi. – *To była bardzo nowoczesna praca naukowa. Doczekała się nie tylko wyróżnienia, ale była również cytowana w prasie zagranicznej* – mówi prof. Krzysztof Sibilski, który był jej promotorem. Sytuacja jest kuriozalna, bo prof. Fałkowski jako naukowiec ma świadomość, że w myśl prawa jedyną podstawą do wszczęcia procedury odebrania stopnia naukowego jest podejrzenie plagiatu. – *W tym wypadku jest to zarzut chybiony, bo praca broniąca była na podstawie badań i doświadczeń własnych* – dodaje prof. Sibilski. Wygląda na to, że prof. Fałkowski ma indywidualne podejście do mechaniki i zjawiska wywierania nacisku.

JULL

ZA KAŻDYM MĘŻCZYZNĄ
U WŁADZY STOI KOBIEȘA,
KTÓRA POMOGŁA MU
ZDOBYĆ WPŁYWY.



Aleksandra Szarłat

PIERWSZE DAMY III Rzeczpospolitej

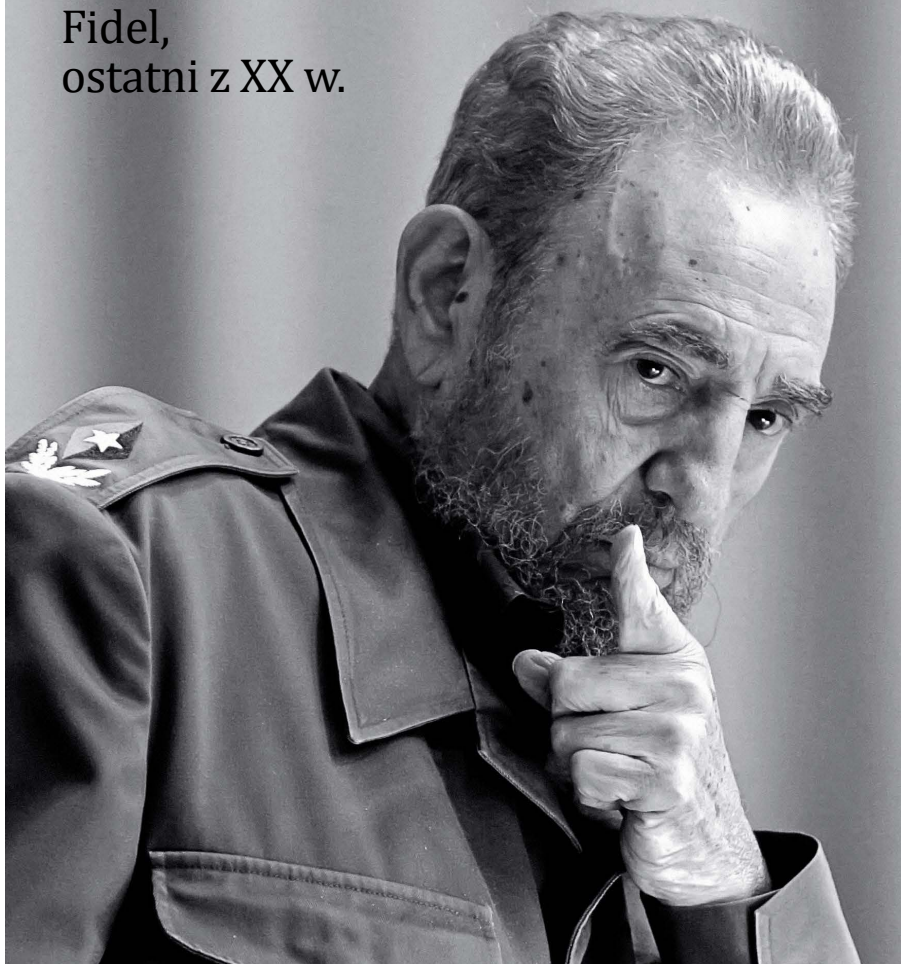
Barbara Jaruzelska
Danuta Wałęsa
Jolanta Kwaśniewska
Maria Kaczyńska
Anna Komorowska
Agata Kornhauser-Duda

Co w pełnieniu funkcji
pierwszej damy jest najtrudniejsze?
Szczerze rozmowy z żonami
prezydentów III RP, z ich bliskimi
i przyjaciółmi.

FOKSAL
GRUPA WYDAWNICZA

W
ydnic
ab
two

Fidel, ostatni z XX w.



© EAST NEWS

Równo 60 lat temu Fidel Castro wraz z grupą kiepsko uzbrojonych bojowników wyruszył z Meksyku na jachciku „Granma”, żeby wzniecić na Kubie powstanie przeciwko marionetce Waszyngtonu Fulgencio Batiście. W Meksyku, skąd piszę tę notę, widzą w Fidelu nie tylko dyktatora, lecz także rewolucjonistę idealistę. Bo Castro inspirował dwa pokolenia naprawiaczy świata – jego dyktatura tej inspiracji nie unieważnia. Pierwsze chwyciło za broń w latach 60. i 70. w wielu krajach regionu; drugie – po porażkach neoliberalizmu lat 90., wywołało nową lewicową falę w regionie. „Odszedł ostatni wielki XX wieku”, „Zmierzch epoki” – pisze prasa po jego zgonie. Jeśli był ostatnim komunistą, to nigdy ortodoksyjnym. Heretykiem i harcownikiem, który przyprowadził Moskwę o ból głowy. Dumnym i próżnym, chwilami szalonym, ale zwykle – do spodu pragmatycznym. Polityczny zmysł pozwolił mu odgrywać ważną rolę na scenie światowej – a był przywódcą niewielkiego kraju, liczącego zaledwie 11 mln mieszkańców.

Mysleć z empatią o komunistycznym przywódcy w kraju, który ma w kościach podobną dyktaturę, to wiosłować pod prąd rzeki. Warto jednak spojrzeć na Castro nie tylko jak na czerwonego patriarchę, lecz

też przywódcę, który znalazł się w pułapce zimnej wojny. Jego rewolucja, początkowo w ramach kapitalizmu, choć egalitarna, nie miała szans przetrwać pod nosem Waszyngtonu bez zwrócenia się ku Moskwie. To amerykańska blokada pchnęła Fidela w ramiona radzieckich towarzyszy i potwierdziła, że Amerykanom nie zależało na dobru Kubańczyków, lecz na kontroli Kuby.

A brak demokracji? Nie da się go obronić. Historia pozwala jednak zrozumieć, dlaczego Fidel nie dał demokracji rozkwitnąć i wiódł życie w okopach. Odrobił gorzką lekcję Jacobo Arbenza z Gwatemali, który prowadził powściągliwe reformy, m.in. rolną, i w 1954 r. został zmieciony przez zamach stanu zmontowany przez Waszyngton. Podobny los spotkał Salvadora Allende w Chile (1970–73), który postawił na demokratyczną drogę do socjalizmu i został usunięty przez Pinocheta przy wsparciu Wuja Sama.

Chcąc przetrwać, Castro prawdopodobnie musiał demokrację poświęcić – a o to, czy mógł postąpić inaczej, spory będą się toczyć do końca świata. Znamy wszystkie niegodziwości i kłęski jego rządów – i nie można o nich zapominać, ale warto też pamiętać, że w Ameryce Łacińskiej czasu zimnej wojny alternatywa była tylko gorsza: wojskowi antykomuniści w Gwatemali,

Salwadorze, Argentynie, Chile unicestwili setki tysięcy istnień. Castro więził opozycjonistów, ale rzeźnikiem, jak Videla, Pinochet, Rios Montt czy Somoza, nie był.

Po upadku ZSRR zimnowojenne okrzyki dochodzące z Waszyngtonu i Miami umacniały izolację Castro. USA nie chciały niczego z nim negocjować: liczyły, że bez wsparcia Moskwy socjalizm na wyspie musi w końcu upaść. I znowu, jak zawsze gdy chodziło o Fidela, którzy przeżyli u władzy dziesięciu amerykańskich prezydentów, przeliczyły się. Stary człowiek na morzu jeszcze raz przetrwał.

Przez lata mówiło się, że jego śmierć stanie się momentem zwrotnym i że po niej system, który stworzył, szybko upadnie. Też nie całkiem tak. Pierestrojkę *à la cubana*, łączącą elementy tej radzieckiej z chińską i wietnamską drogą do kapitalizmu pod osłoną wojska i bezpieczeństwa, rozpoczął osiem lat temu młodszy z braci Castro, Raul. Sam Fidel był sceptyczny. Kapitalizm, nierówność społeczne i zamordyzm – choć znacznie złagodzony – oto dzisiejsza recepta reżimu na wyjście z zapóźnienia cywilizacyjnego. W czasach, w których demokracja liberalna nie jest w cenie i wielu wyborcom wystarcza mała stabilizacja, ten deal może się rządowi w Hawanie udać.

Nawet Ameryce te autorytarne rządy nie muszą teraz przeszkadzać. Duży biznes rwie się do intratnych kontraktów, politycy mówią swoje, bo zależy im na głosach antycastrowskiej diaspory z Florydy. Trump, Miami i część prasy mówią o śmierci „brutalnego dyktatora”, który „zamienił swój kraj w gułag”. Obama z kolei zostawił osąd historii. Zagadką pozostaje, czy wraz z Trumpem polityka USA wróci do starych kolein – embarga i retorycznego radykalizmu – które kończyły się porażką za porażką. A może wcale nie?

Dziś wydaje się, że fizyczna nieobecność ojca założyciela reżimu niczego drastycznie nie zmienia. Pierwsze dni nie wskazują na to, by Kubańczycy rwali się do obalania rządów Raula. Społeczeństwo kubańskie ulega rozwarstwieniu, wielu czerpie korzyści z kapitalistycznych reform – w imię czego mieliby ryzykować bunt? Skończył się szlaban na podróże, ludzie kurują między Hawanę a Miami – po co narażać się na uwięzienie, nawet krótkie (reprezje w porównaniu z czasami Fidela żelazały). Wreszcie – wielu zwyczajnie czci Fidela, identyfikuje się z jego ideami.

Jednak odejście wodza rewolucji, choćby był on emerytem w dresie, ma mimo wszystko wymiar symboliczny. Wiemy z historii, że symboliczne zdarzenia nieraz miały wpływ na jej bieg. Na razie z pewnością można ogłosić tylko to, że wraz ze śmiercią Fidela Castro na Kubie i w obu Amerykach definitywnie zakończył się XX w.

ARTUR DOMOSŁAWSKI



Biały Dom przy Piątej Alei

Spadek sprzedaży w luksusowych butikach w Trump Tower to nieoczekiwany efekt zwycięstwa Donalda Trumpa.

Podobnie jak Donald Trump został wybrany na prezydenta, wybudowany przez niego w Nowym Jorku jeszcze w latach 80. 202-metrowy wieżowiec Trump Tower ma znowu swoje pięć minut. Luksusowy apartamentowiec, w którym swego czasu mieszkał Michael Jackson czy Bruce Willis, mieści się przy Piątej Alei, w samym sercu Manhattanu. Donald Trump ma tam swoje mieszkanie i biuro, z którego zawiadywał kampanią wyborczą, tam odbył się wieczór wyborczy, i tam też prezydent elekt wygłosił swoje pierwsze przemówienie. Dziś jeszcze częściej niż w przeszłości spotyka się w Trump Tower ważnych amerykańskich polityków, senatorów, znanych dziennikarzy i celebrytów. Wszystko to przyciąga gapiów i turystów, którzy chcą zobaczyć zarówno sam budynek, jak i kręcące się wokół osobistości.

Jednak od czasu kiedy Trump Tower stał się główną kwaterą Donalda Trumpa, budynek jest strzeżony 24 godziny na dobę, a wokół pojawiło się więcej bramek i zapór oraz policjanci z psami. Cierpią na tym ulokowane w samym budynku i w pobliżu restauracje i ekskluzywne butiky Gucci, Louis Vuitton czy Polo Ralph Lauren. Słalom między policyjnymi barierkami, sprawdzanie toreb i obwąchujące psy nie wszystkim przypadły do gustu. I chociaż władze miasta ogłosiły, że nie zamkną na dobre Piątą Aleję przed wieżowcem, to już słychać zapowiedzi o jeszcze bardziej zastrzeżonej ochronie okolicy. I wiele wskazuje na to, że pod względem ochrony Trump Tower stanie się nowojorskim Białym Domem.

Handlowcy złowieszczą, że tegoroczny bożonarodzeniowy utarg będzie przez to dużo skromniejszy. I nie przekonuje ich wiadomość, że za kilka tygodni Donald Trump przeprowadzi się do Białego Domu, ponieważ jego żona Melania kilka dni temu oświadczyła, że zostanie w Trump Tower aż do końca roku szkolnego, żeby 10-letni syn prezydenckiej pary Barron mógł dokończyć w Nowym Jorku szkołę i nie zmieniać kolegów.

Zamęt po Schulzu

Przewodniczący Parlamentu Europejskiego i wielki euroentuzjasta **Martin Schulz** ogłosił, że nie będzie po raz trzeci ubiegał się o reelekcję, i w przyszłym roku opuszcza Brukselę. Wraca do Niemiec, aby tam kandydować do Bundestagu jako jedynka na liście SPD w Nadrenii Północnej-Westfalii, a w przyszłości być może zaważczy o fotel ministra spraw zagranicznych. Jednak o ile w niemieckiej polityce Schulz może zamieszać na dobre dopiero za kilka miesięcy, to w tej unijnej już spowodował spory zamęt.

Nie od dziś wiadomo, że po zakończeniu obecnej kadencji socjalistycznego szefa PE stanowisko to, w ramach niepisanej umowy między dwiema największymi parlamentarnymi frakcjami, powinno przejść w ręce chadeków. Tyle że obecnie chadecy stoją na czele Komisji i Rady Europejskiej, a kolejny chadek jako szef PE naruszyłby kruchą równowagę w podziale czterech najważniejszych unijnych stanowisk, bo socjalistom zostałyby w rękach już tylko jedna posada – Federiki Mogherini jako szefowej unijnej dyplomacji. A na taką chadeczką dominację socjaliści zapewne się nie zgodzą.

Zmiany mogą nastąpić na stanowisku szefa Komisji Europejskiej albo przewodniczącego Rady Europejskiej. Tyle że do końca kadencji Jean-Claude'a Junckera zostały jeszcze

dwa lata, a Donald Tusk ma przed sobą tylko kilka miesięcy, więc dużo łatwiej byłoby wymienić właśnie jego. Chociaż i w tym przypadku nic nie jest oczywiste, bo jeśli zmagający się z ostrą krytyką i kłopotami zdrowotnymi Juncker podałyby się do dymisji lub przeszedł na przyspieszoną emeryturę, to w blokach startowych na jego miejsce stoi już obecny wiceszef Komisji Frans Timmermans, bardzo sprawny urzędnik i w dodatku socjalista.



Trexit?

To już koniec – powiedział Martin Schulz, a europarlament zgodził się ze swoim odchodzącym szefem i wezwał do zamrożenia rozmów akcesyjnych z Turcją. Rezolucja nie jest wiążąca – decyzję musi podjąć Rada Europejska. Ale mocniejszych słów krytyki Turcja z Brukseli jeszcze nie słyszała. Według europolsów Ankara „nie pasuje już do Unii”. Wnioskodawcom chodziło o bezprecedensowe przesładowania opozycji po nieudanym zamachu stanu z 15 lipca oraz zapowiedź przywrócenia kary śmierci.

Rozmowy akcesyjne z Turcją trwają już od 11 lat, choć od 2013 r. stoją w miejscu. Z początku przeszkodą było stanowisko Cypru, który domaga się od Ankarę zakończenia okupacji północnej części wyspy. Ostatnio rozmowy ugrzęzły z powodu autorytarnych zapędów prezydenta Recepta Tayiipa Erdoğan. Nie zostaną jednak zerwane – sprzeciwiają się temu wszystkie unijne rządy, poza austriackim. Unijni liderzy chcą utrzymać fikcję negocjacji, ponieważ boją się o los podpisanej w marcu umowy o syryjskich uchodźcach. Turcja zobowiązała się ich zatrzymać w zamian za pomoc finansową oraz wprowadzenie ruchu bezwizowego dla Turków. O ile jednak pieniądze płyną, to zniesienie wiz jest proceduralnie niemożliwe. Erdoğan już wcześniej zapowiadał, że jeśli nic się nie zmieni, puści uchodźców do Unii. W reakcji na rezolucję europarlamentu Ankara zagroziła, że sama zerwie rozmowy z Unią i przystąpi do Szanghajskiej Organizacji Współpracy, sponsorowanej przez Rosjan i Chir-czyków „anty-Unii”. Tureccy komentatorzy są zgodni, że do rozvodu Turcji z Unią prędzej czy później dojdzie – tyle że jeszcze nie teraz, bo Erdoğan sam chce wybrać kiedy.

Piknik wielokulturowy
Fundacji Batorego.
Splecione dłonie to jeden
z symboli NGO.



Obywatel może odejść

PiS chce wziąć na krótką smycz organizacje pozarządowe, które są formą samoorganizacji obywateli i ich obrony przed władzą.

RYSZARDA SOCHA

Zaprezentowano właśnie projekt ustawy o Narodowym Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego (NCRSO). Instytucja ta ma być głównym dysponentem pieniędzy przeznaczonych dla organizacji pozarządowych przez agendy rządowe. Miałyby przejąć od resortu rodziny i pracy zarządzanie Funduszem Inicjatyw Obywatelskich (FIO), a także sterować dwoma nowymi funduszami, których powstanie jest planowane. Pokieruje nią prezes powoływany przez premiera. Przewidziano też 7-osobową radę. Aż pięciu jej członków wyznacza premier, prezydent i minister, któremu podlegają finanse publiczne, tylko dwóch wskaże Rada Działalności Pożytku Publicznego – gremium opiniodawczo-doradcze złożone z przedstawicieli administracji rządowej, samorządowej oraz organizacji pozarządowych. Mimo to nie brak w trzecim sektorze osób, które uważają, iż nie wszystkie pomysły zawarte w projekcie nadają się do kosza. Dużo większy niepokój budzą intencje oraz – przede wszystkim – okoliczności upublicznienia projektu.

Zaczął się od ostrzału w „Wiadomościach” TVP. Uderzyły w kilka organizacji, eksponując powiązania personalne. Zaatakowano Różę Rzeplińską, córkę prezesa TK, Zofię Komorowską, córkę byłego prezydenta RP, a także Jakuba Wygnańskiego, jednego z ojców założycieli polskiego sektora pozarządowego. Jego pewnie dlatego, że był zaangażowany w NGO, w których przewijało się nazwisko Jerzego Stępnia, byłego prezesa TK, stojącego twardo w obronie niezależności sądu konstytucyjnego.

Ogary poszły w las

TVP epatowała kwotami pieniędzy publicznych, które trafiły do organizacji. O tym, na co je wydano i czy są nieprawidłowości w rozliczeniach, już nie było. Niektórzy społecznicy chcą wierzyć, że atak był inicjatywą własną TVP. Premier Szydło, pytana przez „Tygodnik Solidarność” o nadszarpnięty wizerunek organizacji pozarządowych, zapowiedziała sanację, wpisując się w klimat nagonki. Zdaniem premier „rząd jest ciągle oskarżany o to, że nie budujemy społeczeństwa obywatelskiego, a przecież na ten cel przeznaczane są miliardy złotych”. Dodała, że często okazuje się, iż są to fundacje, które były podporządkowane politykom poprzedniego układu rządzącego. Niby podkreślała, że fundacje i stowarzyszenia są po to, żeby ludzie mogli się dobrowolnie zrzeszać,

więc „nie może być to sterowane ani kontrolowane przez rząd czy polityków”, ale zaraz tłumaczyła, dlaczego u nas ma być inaczej: „my musimy dopiero dojść do takiego momentu, w którym politycy nie będą chcieli kontrolować organizacji społecznych”.

Zostało to odczytane jako początek rozprawy ze społeczeństwem obywatelskim. Bo ono jednak istnieje. Składa się na nie 100 tys. stowarzyszeń i 17 tys. fundacji. Nie wszystkie są aktywne. Liczbę tych czynnych szacuje się na ponad 80 tys. Nazywa się to trzecim sektorem, bo w odróżnieniu od pierwszego – publicznego – nie jest podporządkowany państwu. I inaczej niż drugi sektor (biznesowy) działa bez nastawienia na zysk (non profit). Organizacje pozarządowe nazywa się też z angielska endżiosami (od skrótu NGO: Non-Government Organization). Polakom najczęściej kojarzą się one z działalnością charytatywną, pomocą chorym i biednym. Zajmuje się tym 8 proc. organizacji. Zdecydowana większość służy ludziom do przyjemnego spędzania czasu z innymi, którzy mają podobne upodobania – np. lubią grać w piłkę albo hodować kanarki.

Najwięcej organizacji zajmuje się sportem, rekreacją i hobby (34 proc.), edukacją (15 proc.) i kulturą (13 proc.). Nawet jeśli chodzi im tylko o frajdę członków, jest to cenne. Zwłaszcza w Polsce, gdzie jest niski poziom kapitału społecznego i ludzie nie mają zaufania do osób spoza rodziny i znajomych. Połowa organizacji działa na wsi i w małych miastach. Większość wyłącznie lokalnie – w najbliższym środowisku, w gminie, powiecie.

Co to za zwierzęta?

Sektorowi obywatelskiemu w Polsce nie udało się dotąd dotrzeć do szerokich kręgów opinii publicznej z przekazem, czym jest, jaką spełnia rolę, jakimi rządzi się regułami. – *Ludzie wciąż nie za bardzo wiedzą, co to za zwierzęta te stowarzyszenia i fundacje* – mówi jeden z liderów. Nie udało się też zbudować niezależności finansowej. Roczny budżet połowy organizacji to nie więcej niż 27 tys. zł, a co trzecia otrzymuje mniej niż 10 tys. zł. Była szansa, że przynajmniej część NGO wzmocni się, okrzepnie i zbliży do obywateli w związku z wprowadzeniem mechanizmu jednego procentu. Chodzi o organizacje pożytku publicznego (OPP) – ok. 8 tys. stowarzyszeń i fundacji, które mają prawo do 1 proc. naszych podatków (w tym roku uzbierało się 617 mln zł).

Status OPP na wniosek organizacji z minimum 2-letnim stażem działalności przyznaje sąd rejestrowy. Wiązą się z tym dodatkowe wymogi dotyczące sprawozdawczości merytorycznej i finansowej. Sprawozdania OPP (składane według określonego wzoru) są jawne, dostępne na stronie www.pozYTEK.gov.pl. Jeżeli jakaś OPP nie dostarczy ich w terminie, traci w danym roku prawo do 1 proc. Jednak 1 proc. nie spełnił nadziei, jakie w nim pokładano. Głównymi beneficjentami tego rozwiązania zostali ci, których stać na wielką reklamę oraz organizacje subkontowe, zbierające pieniądze na imienne rachunki (najczęściej dla chorych dzieci). W tym roku największa z nich zebrała 144 mln zł. Subkonta nie są jawne i nie podlegają sprawozdawczości. W ten sposób duża część pieniędzy, które miały wzmocnić sektor – wbrew idei pożytku publicznego – została poniekąd sprywatyzowana. Politykom wszystkich opcji zabrakło woli albo odwagi, by to w porę skorygować.

Dziś słabe zakotwiczenie w świadomości społecznej i wątpliwe podstawy finansowe sprawiają, że organizacjom trudno jest się bronić przed napaściami takimi, jak ta telewizyjna. Niezorientowanymi łatwo manipulować. Na przykład podsuwając informację, że w NGO pracuje się za pieniądze, a nie tylko społecznie – jakby miało to dowodzić, że NGO to w istocie mętny biznes. W rzeczywistości połowa organizacji wciąż opiera się wyłącznie na wolontariacie – ale nie świadczy to dobrze o ich kondycji. Reszta ma także pracowników stałych (35 proc. NGO) albo dorywczych (20 proc.), którzy otrzymują wynagrodzenie. Czasem są to dużej klasy specjaliści, których ochoczo za większe pieniądze zatrudniłby biznes. W NGO trzymać ich praca dająca poczucie sensu. Podobnie jest też w innych kra-

jach, zamożniejszych, gdzie trzeci sektor jest bardziej okrzepły, społeczeństwo zamożniejsze, hojniejsze i bardziej świadome.

Pieniądzy publicznych, o których mówiła premier Szydło, organizacje nie dostają za nic, tylko za to, że wyręczają sektor publiczny. Wykonują zadania zlecone przez ogniwa rządu i samorządu, ponieważ zwykle wychodzi to taniej. Bo pozyskują jeszcze wsparcie z innych źródeł, korzystają ze wspomnianego wolontariatu. Aż 85 proc. placówek dla bezdomnych (schronisk, noclegowni) funkcjonuje dzięki trzeciemu sektorowi. W ten sposób przetrwało też wiele szkół, które z powodu cięć kosztów w oświacie były przewidziane do likwidacji. To z NGO wychodzą innowacyjne pomysły, jak rozwiązać ten czy inny problem społeczny.

Pieniądzy rządowe to ok. 15 proc. funduszy trafiających do sektora. Resztę dorzucają samorządy, UE, a część pochodzi z darowizn i z własnej działalności gospodarczej. Oczywiście można się zastanawiać, czy publiczne pieniądze to dieta zdrowa, zwłaszcza gdy stanowią one dominujące źródło finansowania (dotyczy to 29 proc. organizacji – ale zdarza się, że owe pieniądze to jedyne 4 proc. dochodów). Między organizacjami toczy się o nie ostra rywalizacja. Czasem skutkująca tzw. grantozą, czyli ustawianiem działalności pod dostępne akurat granty. I fundacja wyspecjalizowana dajmy na to w szkoleniach nagle odkłada na bok dotychczasową misję, by przerzucić się na prowadzenie obywatelskich biur porad prawnych (o czym nie ma akurat bladego pojęcia).

Miniony rok nie wskazuje na to, by rząd PiS chciał z tą patologią walczyć. Ministerstwo Spraw Zagranicznych przyznało Ruchowi Kontroli Wyborów 1,4 mln zł na prowadzenie Regionalnych Ośrodków Debaty Międzynarodowej – pozbawionemu doświadczenia w tej materii, ale za to związanemu z PiS. Wygrały też lokalne organizacje powiązane z PiS personalnie, a przepadły NGO z kontaktami, wiedzą i dorobkiem.

Uczelnia o. Rydyka dostała 700 tys. zł na przypomnienie o polskich zasługach w ratowaniu Żydów. O tym dawaniu „naszym” i odmawianiu „waszym” szerzej pisała Ewa Wilk (POLITYKA 34). A wciąż dochodzą świeże przykłady, jak choćby sprawa starań Fundacji Niezależne Media związanej z Tomaszem Sakiewiczem i „Gazetą Polską” o 6 mln zł na uruchomienie portalu poświęconego ochronie Puszczy Białowieskiej, o czym szczegółowo informuje portal OKO.press (to także jest NGO). Różne precyzyjne procedury konkursowe wypracowywane przez lata są ostatnio naruszane. Nie brak więc przypuszczeń, że nowe regulacje ustawowe mają ułatwić to dawanie „swoim”.

Jak się tresuje NGO

– *Gdyby chodziło tylko o to, do kogo trafiają rządowe pieniądze, to nie byłoby bezpośrednim zagrożeniem dla społeczeństwa obywatelskiego* – mówi Katarzyna Batko-Tołuć z Watchdog Polska. Lecz niepokój w polskich NGO wzmaga to, co się dzieje na Węgrzech i w Rosji. Ekipa Viktora Orbána atak na trzeci sektor rozpoczęła od medialnej nagonki na organizacje dystrybuujące fundusze norweskie. Norwegia w zamian za dostęp do wspólnego europejskiego rynku przekazuje spore kwoty na pomoc rozwojową mniej zamożnym państwom Unii (dla samych Węgier to ponad 150 mln euro w latach 2014–21). Norwegowie przeznaczają swoje pieniądze na rozwój społeczeństwa obywatelskiego, ochronę mniejszości. Jednak rząd Fideszu zaalarmował, że tą drogą Oslo próbuje wpływać na bieg węgierskiej polityki, łożyć na opozycję i krytyków rządzącej partii.

Fundacje wydające fundusze norweskie zaczęto nękać administracyjnie, audytami, wnioskami o wydanie dokumentów. We wrześniu 2014 r. policja zastosowała środki jak w przypadku niebezpiecznego gangu. Przeprowadziła skoordynowane rewizje w biurach fundacji wykorzystujących norweską pomoc, policjanci rekwirowali komputery i dokumenty, przeszukiwali mieszkania działaczy. Sprawa stała się skandalem dyplomatycznym ►